

GRENLAN DIA 2009

Dania Rafał Król

*Trawers Grenlandii to poważna ekspedycja. Powszechnie uważa się, że to takie 2/3 wyprawy na Biegun. A jak poradziła sobie na "lodo-
wej wyspie" polska wyprawa BERGHAUS GREENLAND EXPEDITION
w składzie Rafał Król i Norbert Pokorski? Zapraszamy do lektury.*



Już po zakończeniu trasy Duńczyca w Kangerlussuaq powiedzieli nam, że byli bardzo ciekawi kto przyjdzie i czy w ogóle przyjdzie. Podobno były nawet były o to zakłady. Miejscowi wiedzieli, że Danish Polar Center udzielił pozwolenia dwuosobowej ekipie na trawers lądolodu w terminie jesiennym (bowiem jesień w Arktyce zaczyna się, nie 23 grudnia, ale 15 sierpnia). Wiedzieli też, że grubo ponad 90 % wszystkich ekspedycji, które dostają zgodę na trawers lądolodu wyrusza na trasę w maju. Wtedy to występują ujemne acz stabilne i znośne temperatury, bardzo długi dzień, nie ma wytopisk ani lodowych rzek, a szczeliny są przykryte zimowym śniegiem. Oznacza to w miarę bezproblemowe wejście i zejście z lądolodu. Ktokolwiek wyrusza jesienią, musi przygotować się na niewyobrażalny wysiłek i trudności terenowe, którym trzeba sprostać. O ile w ogóle dostanie pozwolenie od DPC.

Trzy drugie Bieguna

Nasza ekspedycja to było raczej 3/2 Bieguna. Trudności na początku i końcu trasy wykroczyły poza standardowy asortyment problemów wyprawy polarnej. Nasze sanie ważyły na początku po 85kg. Była tam żywność i paliwo na 30 dni, cały sprzęt biwakowy, odzież, a także środki łączności i ratunkowe oraz sprzęt narciarski. W nachylnym terenie sanie zsuwały się po lodzie i ciągnęły nas w kierunku rozpadlin i szczelin, a ważyły znacznie więcej niż my. Na początku i końcu trasy nie zawsze dało się iść w rakach, tylko czasami mogliśmy poruszać się przy pomocy nart. Ciągnąc za sobą san-

ki musieliśmy szukać mostów śnieżnych i przejść nad szczelinami, kluczyć, odnajdować drogę na popękanych terenach. Na tej wyprawie po raz pierwszy w życiu świadomie zdecydowałem się postawić namiot i spędzić noc na szczelinie zawianej śniegiem, bo lód dookoła był tak twardy, że nie sposób było wbić śledzie czy wkręcić lodowe śruby. Nasza trasa rozpoczęła się od kamienistej plaży nad brzegiem Atlantyku, następnie wiodła przez brudny upstrzony pyłem lodowiec, pasmo muld i pagórków, na które z mozołem wciągaliśmy sanki. Dalej przez pola szczelin, wśród których szukaliśmy przejścia, gdzie wchodzą na mosty nawiane nad szczelinami najpierw obawialiśmy się, aby nie zarwały się pod nami, potem, aby utrzymały sanki, a jeżeli już się zawalały, to abyśmy mieli tyle siły żeby się zaprzeć i szybko je wyciągnąć. Dalej były ogromne rozpadliny, które musieliśmy omijać bardzo nadrabiając drogi, aż powyżej 1000 m wysokości, piątego dnia wyprawy zaczęła się właściwa czapa lądolodu. Dookoła nas absolutny brak czegokolwiek. Potwornie nudne 17 dni. Nie było tam żadnego życia, ani niczego co wystawaloby z gruntu. Jeżeli świeciło słońce staraliśmy się wybrać sobie jakąś chmurkę czy formę w śniegu w kierunku, której można by iść. Gorzej było kiedy nastawał tzw. „Whiteout” czyli biała ciemność. Podczas „whiteout’u” było pochmurno, światło słoneczne docierało do ziemi rozproszone, a do tego często występowała mgła lub zamieć, horyzont zlewał się z podłożem. W takich warunkach oczy męczyły się już po kilku minutach, bo nie było możliwości oceny odległości, ani cieni, krawędzi, niczego na czym można by skupić wzrok i „ustawić ostrość”. Efekt był taki sam dla mnie i Norberta, musieliśmy iść

zdjęcia: Rafał Król



Wieczorny - mimo intensywnie operującego słońca - obóz rozbity namiot na lądolodzie



Rafał Król podczas marszu. Za plecami ślad, jedyny świadek naszych zmagani

przed siebie patrząc na czubki nart. Wieczorami do tego bardzo bolał kark. W momencie kiedy podnosiliśmy głowę aby spojrzeć wprost, nasz błędnik wariował i stojąc na nartach przewracaliśmy się na boki. Dni z whiteoutem były bardzo wyczerpujące psychicznie. Szliśmy cały dzień, z utęsknieniem wyczekując wieczornego obozu i chwili kiedy będzie można zamknąć się w namiocie. Wtedy wymyśliłem patent – Norbert szedł pierwszy patrząc na swe czubki nart, ja idąc za nim zerkałem na kompas, który umieściłem na końcu jego sanek i co chwilę korygowałem kierunek marszu. W ten sposób nawet w bardzo złej pogodzie i ograniczonej widoczności potrafiliśmy pokonać dziennie do 30 km, co jak na wyprawę polarną jest znakomitym wynikiem.

Biały ocean monotonii

Zwykle polarnicy wędrują po 8 do 10 godzin dziennie. My każdego dnia szliśmy po 12 godzin, robiąc 10 minutowe przerwy co 50 minut. Wstawaliśmy po 5.00 rano, wyruszaliśmy około 7.00. Kiedy było bardzo zimno, przerwy robiliśmy dopiero od godziny 11.00, a przez ostatnie dni robiliśmy jedynie 3 przerwy dziennie co 3 godziny. Przy 12 godzinnym marszu zostawaliśmy nam 12 godzin na postawienie i zwinięcie namiotu, ugotowanie jedzenia i sen. A znam ekipy polarne które potrzebują 4 godziny, żeby rano się spakować i wyruszyć. My robiliśmy to w półtorej godziny. Te 17 dni to naprawdę test na równowagę psychiczną. Przez 12 godzin dziennie ciągnęliśmy sanki, idąc najszybciej jak się da, a maksymalna prędkość jaką osiągnęliśmy to 2,1 km/h. Przez ponad dwa tygodnie czuliśmy się jak chomiki zasuważące w swoich kołowrotkach, ponieważ krajobraz nie zmieniał się ani trochę, choć my nic

innego poza marszem nie robiliśmy. Poczucie stania w miejscu było przemożne i przytłaczające. Tylko wskazania GPS każały nam wierzyć, że poruszamy się do przodu. Choć kiedy przed nami 500km, trudno się cieszyć że przeszliśmy w ciągu całego dnia raptem 20km. Temperatury zmieniały się od 0C do -30C, woleliśmy mróz, wtedy nie było wilgoci, nie kapala nam woda podczas gotowania w namiocie, rzeczy wysychały lub ściślej – wilgoć się wymrażała. Wiatr wiał z prędkością do 90 km/h. Co ciekawe sam środek lądolodu, te potwornie monotonne dwa tygodnie to dni niemal zupełnie wiatrowej ciszy. Na czapie lądolodu zupełnie nie wiało. Huragan, który momentalnie połamał Norbertowi wszystkie trzy maszty namiotu zdarzył się nam na samym początku wyprawy, przy morzu, trzeciego dnia. Musiałem się położyć na płachcie jego namiotu, żeby nam jej nie wyrwało a Norbert bardzo ostrożnie wymieniał połamane maszty. Najwyżej położony nocleg mieliśmy na wysokości 2544m n.p.m., choć przed wyprawą zakładaliśmy, że miąższość pokrywy to będzie maksymalnie około 2000m.

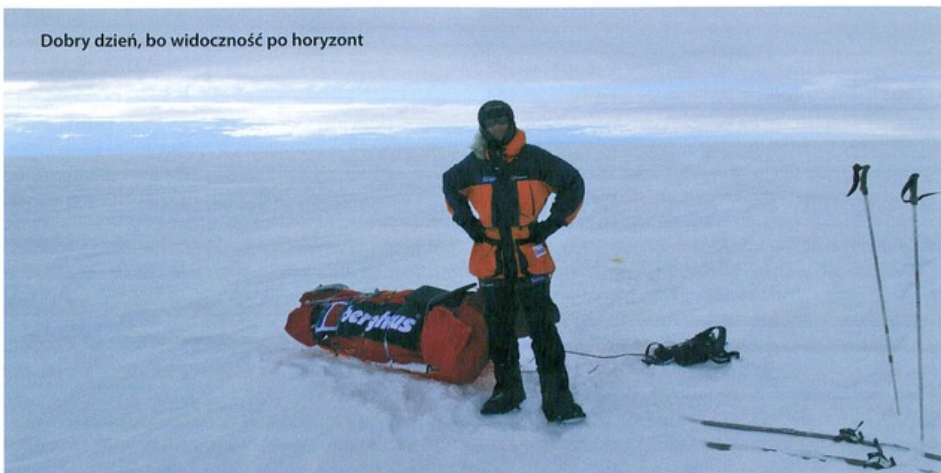
Uciekający Point 660

17 dni monotonii zakończyły się falami pagórków o wysokości kilkudziesięciu metrów i długości kilkuset. Teren nieznacznie zaczął opadać. Za pagórkami otworzył się przed nami bezkresny labirynt najeżonych szczelinami seraków. Będąc zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od magicznego Point 660, który jest końcem trasy i bezpiecznym zejściem z lodowca nasz marsz zwolnił tak, że zaczęliśmy się martwić czy starczy nam jedzenia i czy nie padniemy z wyczerpania tuż przed końcem trasy. Na czapie lądolodu pokonywaliśmy do 30 km dziennie, podczas ostatnich dni

Nabieramy wysokości lawirując wśród kilkusetmetrowych szczelin



Dobry dzień, bo widoczność po horyzont



Norbert przeciąga sanki przez kaszę lodową i wytopisko. Ostatnie dni wyprawy



Chwila rozrywki. Rafał w namiocie dzwoni przez telefon satelitalny do domu. Mimo późnej pory słońce wciąż ogrzewa namiot

zaledwie 5 do 8 km, przeciągając sanie nad przepaściami, zapierając się, przerzucając je nad progami z lodu i rozpadlinami. Dalej czekały na nas rwące rzeki wytapiające się z lodowca. Musieliśmy je przekraczać, przepływać lub przeciągać sanki na linach jeżeli rzeki były zbyt rwące lub szerokie. Oprócz rzek czoły na nas inne pułapki. Brodziliśmy całymi godzinami w kaszy lodowej, przekraczaliśmy wytopiska i wpadaliśmy w przeręble które zarywały się pod nami. Od wpadania do przerębli tak poobijaliśmy nogi, że nasze uda były sine, wręcz fioletowe, na szczęście jednak żaden z nas nie połamał tam nóg. Jak na złość ostatnim dniom z rzekami towarzyszyła fatalna pogoda - mokry deszcz ze śniegiem. Po godzinach brodzenia w lodowej kaszy i przekraczaniu strumieni zastanawialiśmy się czy nasze stopy wytrzymają, czy też trzeba będzie nam amputować palce. Wieczorami skóra na naszych dłoniach i stopach była tak rozmoczona, że aż sama odchodziła. W takim stanie kładliśmy się do lodowatych śpiworów, które jak wszystko inne były mokre od pokonywania rzek.

Kilometr w trzy godziny i łyż radości

Ostatniego dnia jak na złość znacznie się ochłodziło i rankiem trzeba było wbić stopy w buty pokryte lodem a także założyć na siebie zamrożone na kość ubranie. Do końca lodowca i punktu 660 zostało tylko 5,5km. Ale moje sanki były już tak połamane i zdeformowane, że wyrwaczą się co kilka metrów. Co chwila musiałem się zatrzymywać i stawiać je z powrotem na płozach.

W ciągu 3 godzin marszu pokonaliśmy zaledwie 1000 metrów. W końcu zdecydowaliśmy z Norbertem, że zrobimy depozyt bo to jedyny sposób żeby zejść z lodu zanim skończą nam się zapasy żywności. W odległości 4,5km od końca trasy porzuciliśmy moje sanki. Odciążyłem Norberta biorąc od niego pokrowiec z 2 parami nart, oraz niosąc swój plecak. Norbert ciągnął swoje sanki, mniejsze od moich bardziej opływowe i mniej blokujące się między progami z lodu. Po 3 godzinach schodzenia, najpierw przez seraki (od fr. sérac - rodzaj kruchoego białego sera), potem przeciągania sanek na azymut w kierunku zejścia przez kilkunastometrowej wielkości stożki ze śniegu, w końcu zobaczyliśmy nagie skały z wielkim głazem jako punktem orientacyjnym. Nieradko trzeba było wciągać sprzęt pod górki o nachyleniu 45 stopni, a brodząc w kaszy lodowej wyrwać sanki, gdy blokowały się na zakrętach w miejscach przewężeń rzeczek. Łzy napłynęły nam do oczu. Ucałowaliśmy ogromny głaz, jak tylko do niego dotarliśmy. Opodal kamienia w pośpiechu postawiliśmy namiot Norberta, opróżniliśmy plecaki i na lekko wróciliśmy do moich sanek. Co się dało przeladowaliśmy do plecaków, aby odciążyć moje przewracające się sanki i po raz trzeci tego dnia pokonaliśmy ostatnie kilometry. Dotarliśmy do końca trasy z resztą bagaży o 16.30. Równie o tej samej godzinie 17 sierpnia lądowaliśmy z zachodniej strony wyspy. Następnego dnia rano dociągnęliśmy sanie do drogi, kilkaset metrów od naszego noclegu u skraju moreny. Norbert poszedł po jakiś transport. Na szczęście nie musiał iść 30km do Kangerlussuaq, już po 8 km spotkał jadących autem dwóch Duńczyków którzy jechali sobie na wycieczkę zobaczyć Point 660.